



Rafel Nadal
**SZAMPAŃSKIE
DNI**

TAJEMNICE RODZINNEGO IMPERIUM



SOBOTNIE OBIADY

Ilekoć w domu otwierano butelkę szampana, ojciec brał korek, przyglądał mu się uważnie z miną znawcy, wachał go i obracał w palcach w poszukiwaniu znaku producenta.

– Dobry korek – ogłaszał uroczyście, gdy rozpoznawał inicjały „FO” albo znaki „Connex” i „Primus”, które wskazywały, że korek został wyprodukowany przez Francisco Oller-Bouchons à Champagne, rodzinną firmę wytwarzającą naturalne korki do win musujących i szampanów. Potem korek wędrował z rąk do rąk i wszyscy przyznawali się ojcu rację, kiwając głową, chociaż wtedy nie wiedzieliśmy nic o klockach, dyskach ani trzonkach.

Babcia Teresa, odpowiedzialna za zakupy, zawsze zamawiała na skrzynki, jak dla dużego hotelu, bo kiedy katalońską cavę jeszcze nazywaliśmy szampanem, ceremonia powtarzała się bardzo często: wznosiliśmy toast w Wigilię, przy obiedzie w pierwszy dzień świąt, w drugi dzień świąt – na świętego Szczepana, na Nowy Rok, na Trzech Króli, w Niedzielę Palmową, na Wielkanoc, w Boże Ciało, przy zabawach na świętego Jana, świętego Piotra i Jakuba; na Wniebowstąpienie, podczas Jarmarku Świętego Narcyza,

patrona miasta, na Wszystkich Świętych i na 8 grudnia, święto Niepokalanego Poczęcia. Otwieraliśmy też butelki szampana na wszystkie imieniny i urodziny, które – co nieuniknione – w rodzinie z dwanaściorciem rodzeństwa następowały po sobie w wariackim rytmie, a do tego były jeszcze chrzciny, komunie, bierzmowania i rocznice komunii.

Później zaczęliśmy też wznosić toasty na weselach i na chrzcinach – tym razem wnuków – a następnie na rocznicach ślubów. Z biegiem lat przywykliśmy do otwierania butelki szampana co tydzień i zawsze jest do tego więcej niż jedna okazja. Na rodzinnych obiadach w sobotę, przy deserze, matka wymienia wszystkie uroczystości przypadające w danym tygodniu:

– Dzisiaj obchodzimy imieniny Quima, Quimiego i obu Ań, urodziny małego Guillema i rocznicę ślubu Pepa.

Dlatego teraz, gdy słyszę, jak ktoś otwiera butelkę szampana lub cavy, budzi się we mnie tęsknota za wszystkimi toastami, które wznieśliśmy z babcią Teresą, rodzicami, rodzeństwem, dziećmi, wnukami i resztą rodziny przy stole w mieszkaniu przy placu Świętej Łucji w Geronie, w La Fosca albo w folwarku Aiguaviva, i wspominam, jak babcia rozkazywała, by otworzyć butelki, i jak ojciec domagał się korka, by orzec:

– Niedobry. Od razu widać, że nie od nas.

I jak tamtego dnia, pierwszego marca 2004 roku, ojciec odrzucił pogardliwym gestem korek od konkurencji, a Jaume, mój brat, rodzinny adwokat, wykorzystał moment, by poprosić zebranych o uwagę.

– Francuzi zrobili przewrót u Ollera i odebrali nam kontrolę nad fabryką.

SAMOCHÓD

Kto inny na jego miejscu wrzasnąłby „Ty skurwysynu!” i napluł Francuzowi w twarz. Ale dla Jaumego było jasne, że nie może popaść w grubiański, pozbawiony skrupułów styl kuzyna z Reims.

– Nie daj mu się w to wciągnąć. Oddaj kluczyki i dokumenty. Ale nie mów o sejfie w Sant Feliu – poradził dyrektorowi generalnemu.

Jean-Pierre nie bawił się w subtelności.

– Od tego momentu mają zakaz wstępu na teren fabryki. – Jaume usłyszał głos Francuza wydającego polecenia ochroniarzowi. – I niech nie ruszają samochodu; należy do firmy.

Dyrektor przygryzł wargę i wyszedł na zewnątrz w towarzystwie ochroniarza, który przyglądał się temu wszystkiemu z zakłopotaną miną. Szybko przeszedł przez dziedziniec, zerkając na samochód. Zatrzymał się dopiero przy drzwiach.

Tego ranka w drodze do fabryki zauważył, że drzewa owocowe w sadach la Verneda chyba już kwitną. Teraz wiatr z południa, zwykle tak ciepły, był lodowaty i niósł zimne powietrze od gór Montseny, pokrytych śniegiem, który o tej porze roku nie powinien już padać. Przez chwilę pomyślał o drzewkach owocowych, które może zmarzną dziś w nocy.

Potem nie myślał już o niczym. Tylko o tym, by dojechać do domu i wziąć prysznic.

Samochód został na dziedzińcu fabryki, od tej strony, którą najlepiej widać z drogi. Nazajutrz rano wyglądał jak ranne zwierzę, z lodem grubości pół cala na przedniej szybie i pobielały przez jedną z najchłodniejszych nocy zimy.

Przez cały dzień ludzie z Cassà de la Selva przechodzili po kolei przed zakładem, żeby potwierdzić plotki podawane z ust do ust, a wywołujące tyle samo niepokoju, ile złości. Niestabilność spółki mogła grozić utratą pracy.

– Francuzi zrobili przewrót u Ollera i przejęli kontrolę nad fabryką.

„Fabryka” była największą i najdłużej działającą firmą w miasteczku: Francisco Oller SA, producent korków z naturalnego surowca do cavy i szampana, z oddziałami w Cassà de la Selva i Reims, stolicy Szampanii. Kontynuując tradycję Oller i Spółka, firmy założonej w 1892 roku przez pradziadka Francisca Ollera w Épernay, samym sercu Szampanii, zatrudniała stu dwudziestu ludzi w samym tylko Cassà i eksportowała korki do ponad dwudziestu krajów. Od ponad stu lat spółka miała klientów wśród nazwisk najbardziej *glamour* na tej planecie: Louis Roederer, Taittinger, Bollinger, Deutz, Veuve Clicquot...

Ostatnie lata to był dla Ollera nadzwyczajny etap sukcesów na międzynarodową skalę: firma weszła na nowe rynki, osiągnęła rekordowe obroty i zyski oraz bez problemu amortyzowała modernizację najnowocześniejszego teraz zakładu w całej branży korkowej w Empordà, której projekt powstał z inicjatywy wuja Francisca, brata mego ojca, a zrealizował go Kiku, kuzyn, który z entuzjazmem kierował rodzinną firmą. Właściwie to gerońska gałąź rodziny z sukcesem zarządzała fabryką w Cassà od prawie stu lat.

Kiedy gałąź francuska i barcelońska uknuły przewrót, zaskoczenie było ogromne. Zwykle nie odbiera się kontroli zarządcom firmy działającej pełną parą, zwłaszcza gdy należą do rodziny założycieli i sami są akcjonariuszami. Nie jest też w zwyczaju robienie tego w tak brzydki

sposób, zmuszając ich do oddania firmowego samochodu i zostawiając go na oczach wszystkich na dziedzińcu fabryki.

Jaume w imieniu rodziny poprosił firmę, by sprzedała mu samochód. Francuz odmówił. Potem rodzinny adwokat upokorzył się i zadzwonił z prośbą, by zaparkować pod zadaszeniami z tyłu, tam, gdzie się trzyma świeżo pozyskany korek i już wygotowane płyty gotowe do pocięcia na korki. Też się nie zgodził.

Ale Jaume miał klucz.

SEJF W DEUTSCHE BANKU

Jaume zaproponował, bym pojechał z nim do Sant Feliu de Guíxols przejrzeć zawartość firmowego sejfu w oddziale Deutsche Banku. Przejeżdżając przez Cassà cztery dni po przewrocie, po raz pierwszy zobaczyłem samochód zaparkowany na dziedzińcu fabryki. Potem widziałem go jeszcze wiele razy, bo przez długie miesiące był wystawiony przy wjeździe do Ollera, tuż przy szosie. Samochód stał się pomnikiem klęski, napędzał spekulacje i wzbudzał najniższe emocje mieszkańców Cassà. Francuz wiedział, jak nas skrzywdzić, i robił to świadomie.

W banku, słysząc kliknięcie otwierającego się sejfu, Jaume i ja uśmiechnęliśmy się do siebie z zaciekawieniem. Zawartość sejfu była dokładnie taka, jak ją zawsze opisywali dziadek Joaquim, wuj Francisco i Kiku, kolejni przedstawiciele rodziny u steru firmy od 1920 roku: parę kopert z zagraniczną walutą, dwa stosy listów związane gumką, plany, pisma, pliki starych dokumentów, dwa stare zeszyty w twardej oprawie, zdjęcia, oficjalne papiery, faktury...

Przeliczyliśmy pieniądze. Było tam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów australijskich, sto tysięcy południowoafrykańskich randów i garść franków szwajcarskich. Rzuciliśmy okiem na niektóre z listów, wyglądały na korespondencję pradziadka Francisca Ollera, ciotecznego dziadka Louisa Ollera – wuja Lluisa z Francji – i dziadka Joaquima Nadala. Potem przestudiowaliśmy plany: to była Thiérion, maszyna sfinansowana przez firmę Oller, która zrewolucjonizowała przemysł korkowy w latach sześćdziesiątych, a jak dotąd nie wymyślono nic lepszego. Znajdowała się tam też formuła włoskiego kleju, który przez lata decydował o przewadze aglomerowanych korków Ollera nad konkurencją. To były naprawdę ważne dla firmy dokumenty. Potem przejrzelśmy stertę nieistotnych papierów; straciły ważność, a nie miały wartości historycznej.

Wśród papierzyśk znajdował się testament pradziadka Ollera. Jaume włożył go do portfela. Ja wziąłem pliki listów, zdjęcia i oba notatniki w twardej oprawie, zapisane bardzo starannym kaligraficznym pismem. Pierwszy miał czarno-niebieskie okładki i białą etykietę wypisaną przez pradziadka: „Francisco Oller – Podróż do Francji (1885)”. Okładki drugiego były czerwono-czarne, a na etykiecie, pod nazwiskiem „Francisco Oller”, było napisane: „Épernay – Szampania (1891)”. Włożyliśmy pieniądze, plany, formułę, pisma i resztę dokumentów firmy z powrotem do sejfu. Jaume zamknął go i włożył jeden klucz do swojej kieszeni. Drugi oddał kierownikowi placówki, uścisnęliśmy mu dłoń i wyszliśmy na deptak w Sant Feliu de Guíxols dokładnie w chwili, gdy jakiś statek odcumował i oddalał się od przystani.

Po nadspodziewanie zimnym tygodniu wspaniałe słońce rozgrzewało marcowe południe i przespacerowali-

śmy się aż do końca mola. Morze lśniło, gładkie jak lustro. Woda była przejrzysta. Na skałach widać było glony, jak w styczniu, gdy poziom wody opada. Statek, którego manewry widzieliśmy, wychodząc z banku, już kierował się do wyjścia z portu. Przepłynął przed nami, pełen płatów korka powiązanych w bele. Dzień zachęcał, by wsiąść na statek, ale my zrobiliśmy w tył zwrot i wróciliśmy do Gerony.

Rozłożyłem listy na stole w jadalni i uporządkowałem je według dat i autorów. Było ich więcej i pochodziły z liczniejszych źródeł, niż wydawało mi się parę godzin temu w banku. Do 1941 roku większość była od producentów szampana z całego świata i adresowano je do pradziadka Francisca Ollera Martinella, kilka do Cassà, a resztę do fabryki i do domu rodzinnego w Reims. Od czterdziestego pierwszego większość była skierowana do dziadka Joaquima Nadala Vilallongi, podpisana przeważnie przez jego szwagra Louisa Ollera. Ale była tam też korespondencja prababki Joany Viader, Angèle Oller – babci Angèle – i jej sióstr, Héléne i Yvonne. I jeden zbiorowy wysłany przez ośmioro rodzeństwa Nadal Oller – wśród nich mojego ojca – do wuja Lluisa z Francji.

Zdjąłem z półki albumy z rodzinnymi zdjęciami i mapę Francji, którą rozłożyłem na podłodze w jadalni na szkarłatnym dywanie ze wzorem w czarne koty. Potem wziąłem notatnik pradziadka Francisca, ten z czarno-niebieskimi okładkami. Pierwsze strony były wypełnione dyktandami, które pradziadek musiał pisać w młodości na lekcjach francuskiego w Cassà de la Selva: „*La girafe, une cage, mon genou, un gigot, mon village. L'horloge du clocher sonne midi. Sortant de l'école, je rencontre les gens du village. George rentre en grange son foin. Le forgeron ferre le cheval du*

gendarme. La boulangère Gertrude me donne un pain frais en échange de mon argent. Sur les toits les pigeons roucoulent. La brise légère fait tourner la girouette”.

W połowie zeszytu lekcje się urywały i zaczynały się notatki w formie dziennika: to były zapiski z podróży pradziadka do Tuluzji w Langwedocji w 1885 roku, gdy miał szesnaście lat, stracił ojca i matkę, a filoksera zrujnowała Katalonię.

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRADZIADEK



NAJSTARSZY Z DOMU PARÓ

Francisco Oller, najstarszy z domu Paró, i Calau poszli w góry na grzyby powyżej Dues Rieres. Francisco, który niedawno skończył szesnaście lat, nie powinien być dzie-dzicem domu Paró, ale został nim miesiąc po narodzinach, gdy umarł mu starszy brat Josep, czterolatek. Od tamtego dnia śmierć nie dała rodzinie spokoju: najpierw, w wieku dwóch lat, umarł drugi młodszy brat; następnie przy skomplikowanym porodzie zmarła nagle matka, Maria Martinell, i brat, który miał się nazywać Menna. Na koniec paskudna choroba płuc zabrała i ojca, Gaspara Ollera, zwanego Gasparó. Francisco został jedynym mężczyzną w domu, bo najstarsza była dziewczynka, Agnès.

Spędzili cały ranek w leśnym cieniu pomiędzy Dues Rieres a Puig Gros, a w południe, gdy się spotkali, mieli koszyki pełne borowików, rydzów i podgrzybków, Calau znalazł też parę gąsek. Sierpniowe burze dały się mocno we znaki w tej części masywu Les Gavarres i teraz, w początkach września, pojawiały się już pierwsze w tym sezonie grzyby. Dlatego poszli tak daleko. Francisco zaskoczył przyjaciela.

– Chodźmy wyżej, do Metges.
– A co, nie wystarczy?
– Tam będzie dobre miejsce na obiad. Dzień jest taki pogodny.

Od wielu dni chłopak z domu Paró zachowywał się dziwnie i Calau nie chciał mu się sprzeciwiać. Zeszli wąwozem rzeki Daró i wspięli się na drugie zbocze.

Po godzinie przegryzali już chleb ze słoniną, mając kościółek Sants Metges u stóp, otoczeni krzakami rozmarynu i poziomkowcami o gałęziach ciężkich od owoców. Siedzieli obok siebie, oparci plecami o świeżo zdjętą korę dębu korkowego, twarzami ku północy, patrząc hen na równinę Empordà i Zatokę Róż. Dzień był pogodny i masyw Montgrí z zamkiem na szczycie widać było tak blisko, że wydawało się, iż mogą palcami dotknąć pierścienia biskupa, jak nazywano zamek, a wyciągając rękę trochę dalej, dotknęliby nawet przyłodka Norfeu.

Usłyszeli głosy od strony szlaku za sobą i pomyśleli, że to *burros*, tragarze przenoszący świeżo zdjęte z drzewa płaty korka do którejś warzelni, może do domu Bota. Francisco odkroił kawałek słoniny i przytrzymał pomiędzy nożem a kciukiem. Następnie ukroił kromkę chleba i wszystko razem za pomocą noża włożył do ust. Żuł powoli, by zyskać na czasie i pozwolić, by słowa ułożyły się odpowiednio uroczyście. W końcu rzucił:

– Wyjeżdżam do Francji.

Calau skrzywił się, ale nic nie powiedział. Przez dłuższą chwilę milczeli, przeżuując. Francisco chwycił bukłak. Od początku lata Agnès już nie mieszała mu wina z wodą. Pociągnął długi łyk i wytarł usta rękawem. Potem podjął temat.

– Niech to diabli! Przez tę przeklętą filokserę nie ma tu nic do roboty.

Spojrzał na Calau, który siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym gdzieś w kierunku północy.

– Dziadek Fornś mówi, że jacyś katalońscy producenci korków z Reims dali robotę wycinaczom z Llagostery. A podobno w okolicach Tuluzy też szukają.

Calau nie odpowiedział. Czubkiem stopy wyrwał trujący grzyb. Kręciło mu się w głowie. Próbował sobie wyobrazić, jakby to było pojechać na północ, i myślał, że może on też pojedzie. Potem uświadomił sobie, że nie byłby w stanie zostawić matki, znowu czuł się źle. Francisco był sierotą, nic go tu nie trzymało i miał zupełną rację: cztery lata temu wszyscy w miasteczku stracili winnice i przestali wycinać klocki na korek, bo od czasu plagi nikt go nie kupował.

Wstał i ze złością rozdeptał grzyb leżący kapeluszem do dołu; żółty mech zrobił się siny.

– Schodzimy – powiedział tylko. – Zaraz się ochłodzi.

Poszli ścieżką w dół. W gospodarstwie Gironès mężczyźni wchodzili i wychodzili z lasu obładowani płatami i układali je na klepisku do pierwszego gotowania. Inna grupa układała bele wygotowanych płatów na świeżym powietrzu, gdzie korek będzie leżakował do przyszłego lata. Francisco pomyślał, że płaty korka wyglądają z daleka jak olbrzymi ul. Minęli wóz wiozący zmiękczone płaty z zeszłego roku, na dół, do magazynów w Cassà albo w Llagosterze, które zaczynały się przepełniać. Właściciele wciąż zdejmowali korę z dębów, ale, jeśli sytuacja się nie poprawi, niedługo nikt tego od nich nie kupi.

Znów poszli w górę, by okrążyć Puig Gros, i kiedy mieli miasteczko u stóp, zdecydowali, że pójdą tam drogą

od La Verneda. Już byli na dole, przy domu Rebitxo, gdy Calau przerwał milczenie:

– Cholerna filoksera!

DZIEŃ WYJAZDU

Od tamtego dnia Calau zaczął go unikać. Kiedy Francisco zjawiał się u niego wcześniej rano, mówili mu, że wyszedł jeszcze przed świtem i że od wielu dni słyszą, jak wraca, gdy już leżą w łóżkach.

– Nie wiem, co mu jest. Nie pomaga nam przy cięciu klocków i nie zdążymy z jedynym zamówieniem, jakie mamy w tym roku – powiedziała zmartwiona matka, gdy odchodził.

Przez cztery czy pięć dni Francisco próbował jeszcze się z nim spotkać. Pojawiał się u niego w domu codziennie trochę wcześniej, aż pogodził się z tym, że Calau nie chce go znać, i odpuścił. Godziny, które wcześniej spędzali w lesie, zaczął wypełniać intensywnym kursem francuskiego: pan Forns właśnie wrócił z Algierii, by pracować przy projekcie kolejki z Gerony do Sant Feliu de Guíxols, i dawał mu lekcje za darmo. W przeddzień święta Niepokalanego Poczęcia Francisco znalazł miejsce na wozie, którym Fullaca jechał na wybrzeże, do Sant Feliu, i zaklepał bilet na wiosnę na statek, który co miesiąc woził korek do Sète. Udało mu się zdobyć ten kontakt dzięki panu Fornsowi.

Na Boże Narodzenie nie mieli żadnej kury do zabicia, ale Francisco wprawiał się w zastawianiu sideł, a także wspiął się do pustelni Santa Pellaia ze strzelbą: Agnès mogła usmażyć dużą patelnię drozdów i zrobić potrawkę

z ryżu z dzikim królikiem. Dodała do niej bedłki, które zasolili, kiedy jeszcze Calau chodził z nim co rano zbierać grzyby w dębowych lasach wokół miasteczka, a popołudniami łowić żaby na tamie w La Verneda.

Dopiero gdy świtało, pierwszego dnia marca 1885 roku, pod numerem 21 przy ulicy Avall zebrał się tłum ludzi. Najpierw przyszła ciotka – przyniosła mu koc na podróż – oraz kuzyni – oni nieśli chleb, omlet z groszkiem i kiełbasę. Następnie zjawił się ksiądz, który koniecznie chciał go pobłogosławić, a potem zaczęli się schodzić sąsiedzi. Obejmowali go, jakby miał już nigdy nie wrócić. Był też pan Forns, który obiecał, że potowarzyszy mu do Sant Feliu de Guíxols. Kiedy przyjechał Fullaca swoim wozem, Francisco nie mógł uwierzyć: lejce klaczy trzymał Calau.

Przywitał go, jakby dopiero co się widzieli:

– Chodź, chłopie, bo ci statek ucieknie! – krzyknął głośno. I zaśmiał się jak wariat.

Francisco uniósł dłoń, by pożegnać się ze wszystkimi. Uścisnął ostatni raz swoje płaczące rodzeństwo, Agnès i Joana, i wsiadł na wóz.

Mgła mieszała się z dymem z dwóch fabryk, które przetrwały filokserę, a zapach gotowanego korka towarzyszył im aż do Llagostery. Gdy mieli zjeżdżać w dół drogą na Solius, Francisco poprosił, by się zatrzymać. Stał dłuższą chwilę, patrząc w kierunku Cassà, próbując zapamiętać sylwetkę dzwonnicy, ale zrezygnował. Na dobrą sprawę od tego dnia w miasteczku nie miał nic do pamiętania.

Calau dostrzegł czarną chmurę nadciągającą od wschodu, znad lasów Romanya, i ponaglił go.

– Chodź, bo grzmi.

– Calau ma rację. Jeśli chcemy być w południe w Sant Feliu, nie możemy tracić czasu. Mamy jeszcze kawałek – zgodził się Fullaca.

Cała czwórka szybko wsiadła: woźnica i obaj chłopcy jednym susem na ławeczkę z przodu wozu, stary Forns wolniej. Umościł się na deskach z tyłu, wyciągnąwszy nogi do środka wozu.

W południe byli już w Sant Feliu. Fullaca zatrzymał wóz na deptaku, tam gdzie zaczynał się piasek, i Francisco po raz pierwszy zobaczył statek, który miał go zabrać do Sète. „Dziewica z Montserrat” stała na kotwicy pośrodku zatoki, a mnóstwo łodzi przypląwało i odpływało, wioząc na trójmasztowiec ładunek. Płaty korka były już w ładowniach, a i na pokładzie leżały bele.

– Z taką ilością korka nie ma niebezpieczeństwa zatonięcia – powiedział pan Forns, gdy zobaczył, że Francisco z niepokojem wypatruje burzy, którą już było słyhać na otwartym morzu. – Pomyśl, że naturalny korek unosi się na wodzie jak korek; już Rzymianie robili z niego boje i przyczepiali do sieci! – dodał, jakby dawał mu lekcję.

Calau pomógł Franciscowi wnieść bagaż na jedną z łodzi i popłynął z nim na pokład. Kiedy wyładowali kufer, podszedł z udawaną obojętnością.

– Coś ci przyniosłem. – Wyjął z kieszeni szklany słoik z podziurawionym przykryciem i zieloną żabą, która oddychała, nadymając całe ciało.

– To z bajorek La Verneda, pierwsza w tym roku! Jest tak zimno, że nie udało mi się znaleźć żadnego świerszcza – usprawiedliwił się. – Miał cię męczyć przez całą po-

dróż, ale może żaba też sprawi, że zapomnisz o nas trochę później.

– Nigdy was nie zapomnę, ośle jeden!

– No to źle zrobisz. Tak będzie lepiej dla ciebie. Jak wyjeżdżasz, to wyjeżdżasz. I koniec.

Gdy wrócili na plażę, stary Forns też dał mu prezent: książkę oprawioną w skórę. Francisco rozpoznał ją natychmiast: *Hrabia Monte Christo*. Służyła im przez cały rok na lekcjach francuskiego. Uściskał pana Fornsa, który również wyglądał na wzruszonego, i ponownie objął Calau, potem obrócił się, pobiegł do łodzi i usiadł tyłem do plaży, by ukryć emocje.

Marynarze wiosłowali w pośpiechu i szybko oddalili się od brzegu. Francisco odwrócił się do plaży. Pan Forns i Calau machali mu na pożegnanie. Zerwał się na równe nogi i zaczął wywijać rękami.

– Siadaj, bo przewrócisz łódź – krzyknął jeden z marynarzy.

Zrobiło się ciemno. Na statku jeszcze nie podnieśli kotwicy i Francisco stał na pokładzie, ściskając mocno słoik z żabą od Calau. Wydawało mu się, że dostrzega dwie plamy na piasku, ale to chyba nie byli oni, bo od dłuższej chwili już nie było widać wozu.

W nocy, kiedy wszedł pod pokład, otworzył kufer i wyciągnął tych kilka przedmiotów, które zabierał do Francji: nóż do cięcia korka i duży nóż ojca, ostatni klocek wycięty przez ojca przed śmiercią i medalik z Matką Boską Anielską, po matce, który Agnès włożyła mu w dłoń tego ranka, gdy już wsiadał na wóz. Dotknął też słoik z żabą od Calau i książkę po francusku od pana Fornsa. Umierał z chęci przeczytania jej, ale nie mógł zapalić świecy, bo marynarze już spali.

Przypomniawszy sobie słowa Calau i powtórzył cicho:
– Tak będzie lepiej dla mnie. Jak wyjeżdżam, to wyjeżdżam. I koniec.
I również zasnęł.

KATALOŃCZYCY

Obudził się w ciemności i zorientował się, że już płyną, bo „Dziewicą z Montserrat” nieprzyjemnie kołysało; żółdek mu się wywracał i musiał wyjść na pokład. Oparł się o burtę i obserwował uważnie ciemny zarys linii brzegu, ledwie widoczny, a kiedy zaczęło świtać, mdłości już mu przeszły. Właśnie minęli Zatokę Róż i jakiś przylądek, pewnie Norfeu. Statek zaczął się oddalać od skalistych brzegów. Po dłuższej chwili żeglowania ku otwartemu morzu, gdy jeszcze nie całkiem stracili z oczu wybrzeże, Francisco, zmęczony bezmiarem morza i monotonnym rytmem statku, wszedł do kabiny. Otworzył kufer z rzeczami i podniósł do twarzy klocek wycięty przez ojca, by go powąchać. Potem wziął *Hrabiego Monte Christo* i wrócił na pokład. Usiadł na stercie kory korkowej w rogu na rufie i otworzył książkę w przypadkowym miejscu.

Nie dalej niż sto kroków od miejsca, gdzie dwaj przyjaciele, wpatrzeni w horyzont, nasłuchiwali tak pilnie, spijając chciwie musujące wino, rozpościerała się wioska katalońska, ukryta za nagim wzgórzem, które smagał mistral, a słońce spalało.

Pewnego dnia jakaś tajemnicza kompania wyruszyła z Hiszpanii, przybiła do tego wąskiego skrawka brzegu i pozostała tu po dziś dzień. Ludzie

ci, nie wiadomo skąd przybyli, mówili nieznanym językiem. Byli to Katalończycy. Najznaczniejszy spośród nich, który umiał po prowansalsku, zwrócił się do gminy marsylskiej, aby oddano im ten nagi i jałowy przylądek, na jego bowiem brzeg, niby starożytni żeglarze, wciągnęli swoje łodzie. Uzyskał to, o co prosił, i w trzy miesiące później wokół dwunastu, a może piętnastu łodzi, które przywiozły tutaj tych morskich włóczędzów, wyrosła niewielka osada.*

Był coraz bardziej zdumiony. Morscy włóczędzy? O kim, do diaska, mówi Aleksander Dumas? Dostrzegł marynarza, który poprzedniego popołudnia krzyknął na niego na łodzi w porcie Sant Feliu, a który teraz robił węzły oparty o tylny maszt. Przyglądał się z podziwem elegancji, z jaką poruszały się jego dłonie, niczym u kobiet przebierających korek przed domem. Był rozebrany od pasa w górę, prezentował skórę poczerńiałą od słońca, pokrytą warstewką soli jak białawą tkaniną. Przez parę godzin na morzu Francisco miał okazję podziwiać jego zdumiewającą, dziką moc. Być może wyglądał trochę jak Cygan i włóczęga, ale emanował niekwestionowaną godnością. Wrócił do lektury.

Ową wioskę zbudowaną dziwnie, a zarazem malowniczo, na poły mauretańskiej, na poły hiszpańskiej, zamieszkują do dziś potomkowie tych emigrantów i mówią ich językiem. Od trzech z górą stuleci wierni są temu przylądkowi, gdzie podobni stadu ptaków morskich uwili gniazda – nie miesza-

* Aleksander Dumas, *Hrabia Monte Christo*, przeł. Julian Rogoziński, Warszawa 1989. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania (przyp. tłum.).

jąc się w sprawę marsylskiej ludności, żeniąc się między sobą, zachowując obyczaj i strój narodowy, tak jak zachowali ojczysty język.

Przerzucił kilka stron do tyłu i znalazł tytuł rozdziału: *Katalończycy*. Przeczytał rozdział ponownie od deski do deski, próbując przypomnieć sobie wrażenie, jakie zrobiły na nim te stronicie, gdy je czytał z panem Fornsem, ale nie pamiętał. Teraz go zaniepokoiły. Nikt mu nie powiedział, że w niektórych dzielnicach dużych francuskich miast, jak Marsylia, żyją Katalończycy biedni i pogardzani. Przyciągnięty nieoczekiwanym zwrotem akcji pradziadek przeczytał za jednym zamachem aż do miejsca, gdzie Fernand, młody kataloński rybak, wyznaje miłość swojej kuzynce Mercedes, a ta go odrzuca, bo jest zaręczona z Dantèssem; Katalończyk wpada we wściekłość, a dziewczyna go uspokaja:

Rozumiem cię, Fernandzie: napastujesz go, ponieważ cię nie kocham; skrzyżujesz swój sztylet kataloński z jego puginą! Na cóż ci się to zda? Pokonany stracisz moją przyjaźń, jako zwycięzca ujrzysz, jak moja przyjaźń odmieni się w nienawiść. Jeśli ktoś, chcąc przypodobać się kobiecie, szuka zwady z mężczyzną, którego ona kocha, wierz mi, złą obiera drogę.

Czytał przez cały dzień, przeczuwając zdradę Fernanda. Gdy odłożył książkę, nadal czuł niepokój.

– A jeżeli ja też skończę w dzielnicy ubogich Katalończyków? Albo w nędznej chacie jak Mercedes? A jeśli stanę się fałszywy i zdradziecki jak Fernand? A jeśli skończę w bójce na noże? – napisał pradziadek Francisco w swoim

dzienniku. I po raz pierwszy ze stron czarno-niebieskiego notatnika biła jakaś niepewność.

Potem pomyślał zapewne o determinacji hrabiego Monte Christo i o skarbach, które miał odkryć – jak pamiętał z lektur z panem Fornsem – bo po raz pierwszy, odkąd opuścił Cassà, poczuł spokój i zasnął jak suseł wyciągnięty na pokładzie, aż nazajutrz rano krzyknęli do niego:

– Zbieraj się, jesteśmy już w Sète i jeszcze ci ucieknie barka, co ma cię zabrać do Tuluzy.

BRAWUROWA OPOWIEŚĆ O TYM, JAK Z NICZEGO
ZBUDOWANO MAŁE IMPERIUM – SŁYNNĄ FABRYKĘ
KORKÓW DO SZAMPANA.

Niezwykła – nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa – historia młodego Katalończyka bez grosza przy duszy, który na obcej francuskiej ziemi stał się przemysłowcem pełną gębą. Opowieść o biznesmenie dżentelmenie, który już jako chłopak bystry, pomysłowy, rzetelny, potrafił walczyć o swoje marzenia. O łucie szczęścia i genialnej umiejętności kojarzenia faktów – bo cóż może być bardziej potrzebne w Szampanii niż dobry hiszpański korek? O żyłce do interesów – bo co może lepiej wiązać klientów z firmą niż przyjacielskie kontakty?

Nie obyło się jednak bez sprzeciwiania się woli ojca, ucieczek z domu, potajemnych miłości, zerwanych zaręczyn, mezaliansów, ostrych konfliktów pokoleń.

Zawrotne tempo i barwny język opowieści znakomicie oddają burzliwe tło historyczne (dwie wojny światowe, wojna domowa w Hiszpanii, kryzysy i czasy prosperity), gwarantują znakomitą lekturę. Tę książkę czyta się po prostu jednym tchem. A raczej – jednym haustem, bo to przecież *Szampańskie dni*.

www.marginesy.com.pl



9 788364 700576

cena 37,90 zł